

Czym grożą głębokie pytania?

Nie bój się zgubić! – śpiewał Włodzimierz Wysocki. *Kto szuka, ten znajdzie* – mówił Jezus do swych uczniów. Tymczasem ciągle nie są w modzie jakiegokolwiek poszukiwania, nie jest w modzie ekspresja swojej niepowtarzalnej indywidualności, wręcz przeciwnie. Wszechobowiązujący jest model przystosowywania siebie i swojego wizerunku do dominujących wzorców, nawet przy użyciu przekraczających możliwości środków, nawet gwałcąc osobiste tęsknoty. Dlaczego?

Zmorą dzisiejszych czasów jest nerwica. Pojawia się niestrudzenie u przedstawicieli wszystkich, lub niemal wszystkich grup wiekowych. U dzieci pojawia się wraz z pójściem do „ambitnego” przedszkola, lub po prostu szkoły. To pierwsze miejsce, w którym na bok trzeba odłożyć swą indywidualność. Dzieci po raz pierwszy na tak znaczącą skalę poznają wartości i cnoty, do których, jeśli chcą zostać zaakceptowane, muszą się dostosować. Dyscyplina grupowa, czasowa, czynności i procesy nie będące wynikiem własnej inwencji. Indywidualizm w znaczeniu tradycyjnym, tj. swobodny sposób myślenia i postępowania odbiegający od ogólnie przyjętych wzorców zastąpiony zostaje przez indywidualizm w nieco innym, nowoczesnym i modnym obecnie znaczeniu tj. działanie w pojedynkę, z poczuciem współzawodnictwa, wykształcanie iluzji bycia niezależnym, tj. poza związkami z grupą ludzi i z przyrodą. Związki te istnieją o ile leży to w interesie indywidualnego osobnika i mają charakter bardziej formalny, niż uczuciowy, Cnota współzawodnictwa każe tzw. niezależnej jednostce podążać jedyną „słuszną drogą”, by być lepszym. I tak oto powstaje iluzja „wolnego obywatela w wolnym kraju”. W okresie szkolnym serwujemy naszym dzieciom odpowiednio organizowane doświadczenia (zabawki i postaci z filmów, nie istniejące w rzeczywistości lub w najlepszym razie jej karykatury, aktywność na ekranie komputera itd.) Potem już idzie łatwiej. Nauczeni, czego w życiu pragnąć i jak to osiągać gramy swoje role, co prawda nie napisane przez siebie, ale coraz bardziej swoje. Gdzieś głęboko w środku każdego z nas drzemie jednak dzika, niepowtarzalna i ukształtowana przez ewolucję w postaci niezliczonej ilości naszych przodków i doświadczeń – natura. Czasem bolesna, czasem czarująca, czasem ledwie istniejąca, ale prawie u każdego z nas odzywa się co jakiś czas jako wątpliwości, olśnienie, depresja, w końcu pytanie: wszystko „jest super, więc o co ci chodzi...?” całkiem, jak w piosence. I kiedy zaczyna nam być źle, odzywają się niezastąpieni stróże „porządku”. Reklama podpowie, że to dlatego, że czegoś nam brak. Chodzi oczywiście o zmywarkę do naczyń, lub odpowiedni płyn do mycia naczyń w zmywarce. Rodzina powie, że mamy chandrę, więc najlepiej ją przeczekać, albo wziąć się do roboty, albo jeśli rodzina jest nadzwyczajnie miła zrobi nam jakiś ładny prezent. Kościół natomiast powie, że opętał nas diabeł (postać równie fikcyjna jak Batman, a więc i równie rzeczywista) i powinniśmy pójść do spowiedzi, wyznać wszystkie grzechy, albo po prostu zaufać Bogu i wszystko samo się rozwiąże. Pewnie wszystkie te diagnozy są bliskie prawdy, a my wybierzemy tę, która najbardziej trafia nam do przekonania. Prawdopodobnie odpędzimy męczące pytania i przynajmniej na pewien czas osiągniemy coś w rodzaju równowagi. C.G. Jung – sławny i zasłużony dla nauki psycholog i terapeuta darzy pewnego rodzaju szacunkiem wszystkie te dogmaty (w odniesieniu do światopoglądu stricte chrześcijańskiego) i tzw. rytuały (mając na myśli np. dzisiejsze wyprawy rodzinne „do supermarketów) jako metodę tzw. higieny psychicznej, stanowiące według niego wspaniałą obronę przed nawałą strasznej wieloznaczności doświadczenia bezpośredniego. Jest to oczywisty punkt widzenia lekarza terapeuty, który wobec swoich pacjentów świadomie unika podejmowania ryzyka, dopóki nie jest ono konieczne, a owym ryzykiem są rzecz jasna głębokie pytania, które targany wątpliwościami pacjent niekoniecznie musi sobie zadawać. Celowo określam tutaj pacjenta jako targanego wątpliwościami, bowiem pacjent chory na nerwicę, jeśli rzeczywiście pragnie się wyleczyć musi owo ryzyko podjąć. Mówiąc inaczej, ale też słowami C.G. Junga dopóki się siebie tłumi, można nerwicy uniknąć, zadawalając się tym samym namiastką postrzegania i smakowania życia. Nie można natomiast wyrzec się siebie bez konsekwencji popadnięcia w nerwicę. Cała rzecz tkwi w pytaniach i w tym na ile są one głębokie. Strach przed głębią pytań i ucieczka na płyciznę, lub

nawet pozostanie na poziomie jednego z nich i próba zwerbalizowania, objęcia intelektem jakiegokolwiek odpowiedzi na jedno z tych pytań, to pułapka.

Moja sąsiadka powiedziała, że słyszała od kogoś, że od medytacji można zwariować. Tymczasem w każdym większym mieście według oficjalnych danych co najmniej 10% mieszkańców cierpi na zaburzenia psychiczne, bynajmniej nie od medytowania. Gazety straszą troskliwych rodziców sektami, które porywają dzieci. Śmiem przypuszczać, że ilość samobójstw nieletnich, spowodowanych niemożnością przystosowania się do obowiązujących powszechnie wzorców jest znacznie wyższa od ilości porwanych przez sekty dzieci. Sekty niestety w wielu przypadkach stanowią jedyną napotkaną alternatywę dla młodych ludzi, targanych pytaniami, stanowią jedyne napotkane miejsce, w którym można te pytania, przynajmniej na początku zadawać. Kościół kreuje demona naszych czasów jakim zwie relatywizm moralny. Relatywizm może być konsekwencją zadawania pytań i sam w swej istocie nie jest bynajmniej godzien polecenia. Ale skąd bierze się ta rozpaczliwa obrona przed naruszaniem, poddawaniem w wątpliwość, czy negowaniem dominujących światopoglądów? Skąd ta zaciekle obrona nawet przed próbami zweryfikowania tego, co funkcjonuje? A że niedoskonale, temu nikt nie zaprzeczy.

Po pierwsze, oczywiście chodzi o zachowanie władzy i pieniędzy. Ale to nie wszystko. Stoi za tym chyba odwieczna tęsknota człowieka za stabilizacją, za trwałością jakiegokolwiek stanu. Może po prostu lęk przed przemijaniem. Skłonność i do przywiązywania się i lęk przed stratą. To chyba jeden z dramatów ludzkiej samoświadomości. Tymczasem zmiany, nieustające zmiany są istotą życia. Kto ma odwagę zanurzyć się w nurcie życia musi wziąć zmiany pod uwagę.

Postawienie głębokich pytań jest pierwszym aktem odwagi. To podjęcie ryzyka poniesienia „straty”. To ryzyko konieczności rozprawienia się, a może i w końcu odrzucenia swoich wyobrażeń, poglądów, ocen, wielu swoich przywiązań. W przypadku nerwicy dokonanie takiej wydawałoby się rewolucji własnej osobowości jest warunkiem pokonania choroby. Bardzo niewielu pacjentów podejmuje takie kroki, a wśród tych, którzy podejmują nie ma gwarancji osiągnięcia harmonii. Stąd obawy Carla Junga, co do skuteczności, czy celowości wpuszczania pacjentów w „głębiny” egzystencjalne. W głębinach tych czyhają na człowieka liczne zasadzki. Przede wszystkim czai się tam diabeł, by wnikającego w nie człowieka omamić i wyprowadzić na manowce. Tak oto można by strywializować obawy i przestrogi starszych skierowane do młodszych tego świata. I znowu obawa przed zakłóceniem sakramentalnego spokoju? Zauważmy do jakiej rangi cnoty ów spokój w dzisiejszych czasach urósł. Kiedy składamy sobie jakieś życzenia, czy to świąteczne, czy noworoczne, coraz częściej pojawia się przymiotnik „spokojny”. Spokojnych świąt, spokojnego nowego roku... Bądźmy jednak pokorni. Wszystko to dzieje się nie bez powodu. To w głębinach, (tyle, że intelektualnych) i pod wpływem pytań, (tyle, że niezbyt głębokich) rodziły się i rodzą idee, ideologie, -izmy i psychozy. Wprowadzone w życie - na samą myśl, czy wspomnienie włos się jeży. Niestety, te dwie sfery: intelektualna (myślenie, formułowanie, nazywanie) i duchowa (odczuwanie) nie są powszechnie rozumiane jako różne i nie równie wartościowe (na niekorzyść tej drugiej), tymczasem są one czasem wręcz przeciwstawne. Naprawdę głębokie. pytania przebijają się przez intelekt do sfery ducha. Prowadzą zawsze do przyjmowania postawy pełnej pokory, którą można by wyrazić słowem „nie wiem”. Pozostanie z pytaniami w intelekcie prowadzi do postawy „wiem”, która to właśnie jest autorką ideologii i „zmów”. A te kojarzą się też ze zmianami, które w historii człowieka, a zwłaszcza przyrody w towarzystwie człowieka były przeważnie zmianami na gorsze.

Więc czym grożą głębokie pytania? Czy można od nich zwariować? Czy od zadawania jakichkolwiek pytań można zwariować? Zwariować można od uciekania przed pojawiającymi się pytaniami. Można pewnie też zwariować od trwającego na nie braku odpowiedzi.

Warto by może w tym miejscu określić, co to są właściwie głębokie pytania, dlaczego spośród pytań w ogóle wyodrębniamy tzw. głębokie, traktowane powszechnie jako te najbardziej niebezpieczne.

Człowiek-zwierzę nie zadawał żadnych pytań, podobnie jak do dziś nie robią tego żadne zwierzęta (oczywiście w naszym ludzkim tego słowa znaczeniu). Pytania człowieka pierwotnego nie były ani płytkie, ani głębokie. Jako takie oczywiście były i człowiek ten szukał sobie odpowiedzi bez szczególnych uprzedzeń. Im bardziej człowiek oddalał się od swych korzeni, im bardziej budował swój wymyślony świat i im bardziej brnął w iluzję swojego oddzielenia od reszty życia tym pytania, które w jego sercu się rodziły siłą rzeczy stawały się głębsze. Im grubsza warstwa kłamstwa pokrywa prawdę, tym głębiej do prawdy trzeba sięgać. Nie sięgając jednak w kierunku prawdy, lecz grzebiąc z rozpaczą po bokach – można zwariować.

Od głębokich pytań pewnie można zwariować, jeśli straciło się ów słuszny kierunek poszukiwań, kontekst, tzw. sferę odniesienia. To właśnie jest relatywizm. Patrząc w tył na historię człowieka i historię rodzenia się głębokich pytań widać wyraźnie tę jedyną, rzeczywistą, namacalną, przez nikogo nie wymyśloną sferę odniesienia – przyrodę. Odwołując się do przyrody i wszystkich praw i procesów, jakie nią kierują można bezpiecznie zadawać najgłębsze pytania. Można nawet bezpiecznie nie znajdować odpowiedzi. Można ze spokojem zanurzać się w swojej duchowości i mieć pewność, że nie spotka się w niej diabła. Przyroda jest nie odkryta, niepojęta, a równocześnie przejrzysta i uczciwa. Nie jest czymś, co możemy zaakceptować, lub nie, uwierzyć lub nie uwierzyć. Ona jest na pewno. Jest jedyną rzeczą, która istnieje na pewno, tak jak my istniejemy jedynie na pewno jako jej część. Nie jako „nośnik wartości”, nie jako „istota rozumna”, obywatel, wyborca, wyznawca itd., itp. Istniejemy, bo oddychamy, słyszymy, widzimy, czujemy – niezależnie od koloru skóry i wyznania. Żaden światopogląd nie może zakwestionować naszej biologii tkwiącej w przyrodzie. Żaden światopogląd nie może również zakwestionować naszej duchowości wynikającej wprost z przyrody. To dzięki tej duchowości, poprzez tę duchowość możemy komunikować się z przyrodą. Możemy pytać i słyszeć odpowiedzi. Las, rzeka, łąka... góra, szron na drzewach – wszystko to przepojone jest zachwytem, szacunkiem i pokorą. Zachwyt, szacunek i pokora otwierają nas na niezliczoną ilość przekazów, słów, porad – odpowiedzi.

A może inaczej: wszystkie odpowiedzi są w nas, ale w tych z nas, którzy pamiętają, że są przyrodą. Czy w zgiełku miast, w ulicznym hałasie, w plątaninie sztucznych pól magnetycznych, w morzu informacji i frustracji pamiętamy, że jesteśmy przyrodą? Czy siedząc w fotelu samochodowym, przy biurku z laminatu, w świetle halogenowej żarówki, w optymalnej temperaturze klimatyzowanego pomieszczenia możemy mieć odwagę zadać sobie głębokie pytanie? Tak, pod warunkiem, że na tym śmietniku jesteśmy w stanie odnaleźć skrawek przyrody. Łza, spocona dłoń, robaczek w doniczce z ziemią wszystko to, co żyje i działa w nas lub koło nas w nie zaprogramowany przez cywilizację sposób. Wystarczy popatrzeć na naszą skórę, jak cudownie reaguje na bodźce i procesy. Wie, co ma robić. Emanuje cudownym przekonaniem do roli, jaką pełni. To samo łza, czy kręgosłup. O ileż prościej i piękniej byłoby spojrzeć na jabłoń w ogrodzie, na rozkładającą się kłodę w lesie, by zaczerpnąć oszałamiającej prostoty istnienia. To tak, jakby złapać za nitkę z kłębuszka misterium harmonii. Taką nitką właśnie płyną do nas proste odpowiedzi na skomplikowane pytania.

Marta Lelek